

CHIMERA (WIECZNIE ŻYWA)



Ἔσπερε, πάντα φέρεις.



Odplnę z pierwsz falf za zlo-
wrogf a jasn f gwiazdf Lucife-
ra, co po nieprzejrzanych mo-
rzach sfmiale serca ludzkie na
zaglfdef wodzi.

Odplnę, gdy na sfnieznych
szczytach najwyzszych gorf wy-
tli si o zachodzie rofzafno-zlota
zorza, gdy wonny letni zmierzch
przymgli niebo i zamroczy oddale. O tej porze falujf
nad wodami melodye, pelne cudnej i niewyslowionej
melancholii, i drzewa szumi f, jak gdyby sfpiewaly. O tej
porze najslodsze sa usta, najpieszczotliwsze lona i naj-
piekniejsze oczy dziewczefce. I wszefdzie kwitnf cudy,
i wszefdzie zamykajf si kwiaty, a otwierajf dusze ludz-
kie, podobne do kwiatofw.

O tej porze, na tarasie marmurowego palacu, co
wsrof rozkwieconych i szumiacych gajofw wznosi si
wysoko nad ciemnym morzem, zegnaf bdef moich przy-
jaciol —

moich przyjaciół młodych i pięknych, w których źrenicach tlą się orle sny, których dusze są jako żywe źródła twórczej mocy i tajemniczej kraszy.

Przy świetle smolnych pochodni, których płomienie wicherzą się i szumią smutno na powietrzu, będziemy pili wonne, złociste wino i będziemy rzucali dźwięczne czary w morze. Będziemy śpiewali kołyszące się z chwiejną falą pieśni i będziemy rzucali płonące pochodnie w morze, — będziemy rzucali w bezdenne wiry płonące pochodnie, aby, lecąc w ciemność, krwawiły się groźnie i boleśnie, jak się krwawią strącone z jasnych szczytów dumne serca ludzkie.

A kiedy zatonie ostatnia dźwięczna czara i zagaśnie ostatnia smolna pochodnia, zejść w półjasną głąb' rozkwiecionych i szumiących gajów, gdzie mnie czekają moje siostry — moje siostry, młode i piękne, w których zadumanem oku przygasa o wieczorze zimny blask klejnotów, a zapalają się drzące gwiazdy tęsknoty.

I będę patrzył, jak ich wiosenne, smukłe ciała przelatują w rytmicznym tańcu po miękkiej zieleni pachnących traw, —

jak im w rozwiane, śliczne włosy osypuje się z rozwahanych drzew woniejące kwiecie na podobieństwo gwiazd, które się z dróg mlecznych osypują nocą w wezbrane, rwące rzeki.

I będę słuchał ich pieśni, w których cieniu, jak w cieniu wierzby płaczącej, dobrze jest spocząć na chwilę tułaczkiej duszy.

A zanim odejdę, wezmę od każdej siostry mojej pocałowanie jest ust, a z włosów jej kwiecie, któremu krasą podobna: —

z balsamicznych, pływających włosów pierwszej, co ma oczy modre i świetliste jak przejaśniony błękit, wezmę różowiejący kwiat jabłoni;

a z pozłocistych, miedzianych włosów drugiej, której źrenice mienia się posępnie jak szmaragdowe dalekości wystygłych mórz polarnych, czarną gałązkę cyprysu;

i wezmę kwiecie z włosów tej, w której źrenicach świecą lzy jak opalowe perły na dnie przezrystej krynicy, i tej, której oczy błyskają, jakby się w nich co chwila rozniecały i gasły błędne ogniki, i tej, której oczu, świetniejących blaskiem ametystu, nigdy pod długą rzęsą dojrzeć nie można.

A z hyacyntowych, kruczonych włosów ostatniej, której oczy jak u jasnowidzów czarne są, promieniste i jak śmierć wszechmocne, wezmę kwiat granatu, gorejący mistyczną purpurą. I czując, że mi twarz niemiej od długo tajonego bólu, pochylę się do jej stóp, jakgdyby po złoty klejnot, co się osunął z jej jasnej ręki między rosiste trawy i fijołkowe kwiecie.

Wtedy na niebie, na odwiecznym, szafirowym niebie rozbłyśnie złowroga gwiazda Lucifera. Poprzez spletaną gęstwą liści i drżących puchów kwiatnych prześlizną się jej modre promienie i ku rozwidnionym błękitom podniosą łagodnie moje oczy olśnione.

I pójdzie za nią łódź moja, i poleci za nią serce moje w śpiewające cisze. A gdy wichry zawieją szaremi mgłami pustkowie wodne, gdy nagle błyskawica targnie ściemionem niebem i ukaże wśród mroków nad lecającą w bezdeń lodzią slaniające się orły morskie, —

wtedy wszystko dokoła pocznie się stawać snem, pięknnością i niepojętem, nienazwanem szczęściem, jakie może było w przededniu stworzenia.

Stanisław Wyrzykowski.



EWA KORCZYŃSKA

Więdna róża
czerwienią
maluje uczucia
ogłupiających serc

Więc kochaj
miłością gasnącego
dnia
szarością
popołudniowego mroku
ostatnim tchnieniem
drgającej ciszy

Gdy zadzwonią gwiazdy
obsypię ciebie
granatem nieba

Pójdziemy pod rękę
z księżycem
by nie powrócić
do wspomnień
pędzących donikąd radości



WOJCIECH SZMIGON

podróże z kotem Schroedingera

postawiłeś stół na ziemi w samym środku
kosmosu
chodzimy pomiędzy szklanymi taflami,
racjonaliści
nasłuchujący ciszy wpisanej w papierowe
dzwony

*dzieci nie rodzą się opakowane w plastikowe torby
myślę o nas, dojrzewających na skwerach i
ulicach*

nadchodzi kolejna fala refleksji, tunele bez
początków
słowa w superpozycji bez znaczeń, czas bez
kierunku
żaden obserwator nie obserwuje własnej
świadomości

a gdyby tak zaistnieć? dotykać wszystkich
wymiarów
zamiast łęku rysować kredą czarne
winogrona zdarzeń
zatracić iluzoryczną symetrię słów - *przed,*
po i teraz

pospieszny do Warszawy

wstałem wcześniej niż moja czerwona
koszula
tuląca się kurczowo do sztywnej poręczy
krzesła
przez moment budzik i ja skrzyżowaliśmy
spojrzenia
dlaczego nie zaskoczył mnie dziś swoim
milczeniem?
nie wiem...

*(może życzliwość nie leży w jego wrednej
zegarkowej naturze?)*

wszystko jest drogą, zrzedzą mijane latarnie,
a dla mnie
miasto jest tylko nienormalnie
groteskowym labiryntem
gapiącym się w słońce narysowane żółtym
flamastrem
na reklamach prezerwatyw o zwiększonej
wytrzymałości

do dworca docieram mijając przestrzeń
wymyślaną przed sobą ad hoc
nie jest to łatwe z powodu powtarzalności,
(dobrze wiesz o czym mówię)

powtarzalność komplikuje wędrowcom
brodzenie w mulistym dnie rzeki
powtarzalność jest nudą wpisaną w dymek
poezji snującej się nad kartką
powtarzalność to narkotyk poety, odbiera
żarliwość dając w zamian podziw

przedział kolejowy staje się azylem dla
moich skórzanych butów ukrytych
pod sąsiednim fotelem, one niemało już
wiedzą o kolejowych zakamarkach
później, a właściwie po chwili, zakochuję się
w istniejących tutaj kobietach

moje prawe oko napotyka na dzieło
Rubensa wymalowane na oparciu
pachnąca piwem matka boska z
dzieciątkiem będzie z nami całą drogę
moje lewa strona ciała zamienia się w
miękkie języki freudowskich symboli

nie widziałem tu ciebie ślicznotko nigdy
wcześniej a wiem, że odkryję z tobą
całą drogę do Warszawy, a może nawet
odejdę na całe życie z pierwszą stacją

podróż poprawia makijaż przed własnym
weselem, a my oboje siedzimy zaręczeni
ojciec konduktor zaraz da nam ślub,
pobłogosławi swoim urzędowym
kasownikiem

zazdrość dopadnie mnie wkrótce, bo jak tu
rywalizować z kolejowym dworcem
który oferuje wyjście z każdej sytuacji,
bardziej hipnotycznej niż pierwszy krok
na peronie